



Edward Guziakiewicz

HEGEMONE

Myśląca planeta

Edward Guziakiewicz

Hegemone

Myśląca planeta

ISBN 978-83-64865-81-7 (PDF)

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie
i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione
bez pisemnej zgody autora.

Fragment

Wracala mi świadomość. Ze stanu głębokiego snu wyrwało mnie ciche pikanie urządzeń, zajmujących ścianę, biegnącą wzdłuż kabin hibernacyjnych. Ujmujący głos powtarzał: „Aktywacja komory numer siedem! Aktywacja komory numer siedem!” Otworzyłem oczy. Usiłowałem sobie przypomnieć, jak się nazywam. „Jestem Harry Miller. Poleciałem w kosmos i wylądowałem na Hegemone!” Odetchnąłem z ulgą. Pamięć mnie nie zawodziła, więc wszystko było w porządku. Odsunęła się pokrywa osłaniająca leże. Mogłem wstać. Kiedy spałem, aparatura dbała o mięśnie, systematycznie je pobudzając, więc bez wysiłku wydostałem się z hibernatora. Nie musiałem przechodzić żadnego treningu. Grawitacja była stabilna. Stopy zostawiały mokre ślady na posadzce. Sąsiednie kabiny hibernacyjne były jeszcze zamknięte. Dochodzili w nich do siebie Michael, John i Matthew, pokładowi mechanicy i specjaliści od sprzętu na powierzchni. Wszedłem pod prysznic, ginąc w kłębach pary. Potem owiał mnie suchy wiatr, a na koniec moja skóra pokryła się cienką warstwą fluidu regeneracyjnego.

Migały sygnalizatory. Pojąłem, że stawiano na nogi wszystkich bez wyjątku. Zgodnie z ustaleniami miałem spędzić w hibernatorze sto dwadzieścia lat, podobnie jak inni członkowie załogi Demostenesa, wyjąwszy pełniących dyżury. Jednak dopiero gdy podszedłem do pulpitów kontrolnych, ze zdziwieniem odkryłem, że nie spaliśmy tak długo. Komputer obudził nas już po czterdziestu latach. Dlaczego tak wcześnie? Co się stało?

Ciekawiło mnie, co takiego zmieniło się w pobliżu naszego kolosa i z zaafierowaniem szukałem ujęć z powierzchni. Popłynęły barwne obrazy. Dawały mi do myślenia. Dookoła statku znaczyła

się ściana świeżo wyrosłej gęstej dżungli. Odrodziła się bez przeskód i była prawie taka, jak przed naszym przybyciem. Upewniłem się co do poziomu szkodliwego promieniowania. O dziwo, nic nam już nie groziło. Kiedy lądowaliśmy, zawiodły nasze silniki, a fala uderzeniowa spopieliała całą roślinność w promieniu kilkuset kilometrów. Na szczęście, poszycie kadłuba nie ucierpiało. Bujny las przepadł i pozostał po nim jedynie martwy grunt. Nie mogliśmy wyściubić nosa z Demostenesa przez ponad sto lat, jeśli nie chcieliśmy pakować się w tarapaty. Gdybyśmy to zrobili, to pewno jeszcze nasze wnuki — mówiąc żartobliwie — świeciłyby w nocy.

Dopadły mnie wątpliwości. Jakim cudem tak szybko ustąpiło skażenie terenu? Ktoś za nas posprzątał? A może popełniliśmy błąd w obliczeniach? Te pytania musiały poczekać. Przypomniało mi się, co zdradził George Wilson, znany z tego, że rzucał co rusz oryginalnymi hipotezami. Zwykle trafiał w dziesiątkę. Sugerował, że ta planeta posiada myślące jądro. I że jest ono odpowiedzialne za rzeczy, o jakich nam się nie śniło. Myśląca planeta? Nie spotykaliśmy takich w kosmosie. Tym niemniej zastanawiała mnie jej niezwykła budowa. George zwrócił uwagę na to, że półkula północna i południowa są takie same, biorąc pod uwagę linie brzegowe i nawarstwienie terenu, co kłóciło się z prawami natury. Bardzo podobne doliny, rzeki i jeziora, podobne góry. Jedna półkula globu stanowiła nieomal wierne odbicie drugiej.

Pomyślałem, że będziemy jeszcze wiele razy powracać do tego tematu i udałem się do mesy, miejsca naszych spotkań towarzyskich. Najlepiej gawędziło się przy kawie i przy koktajlach. Zastałem tam trzy zadumane cud-dziewczyny, Catherine, Emily i Rosemary, usiłujące przegonić resztki snu. Komputer dopiero co wypluł je z hibernatorów i podobnie jak ja świeciły nagością. Nigdy wcześniej nie widziałem tych dziuń bez odzienia i zatkało mi dech z wrażenia. Poczułem napływ adrenaliny. Na szczęście, penis mi nie zeszywniał, bo czułbym się ośmieszony. Były hojnie obdarzone przez naturę i oślepiały swoją urodą. Mimo tego, że

dopiero się przebudziły, wyglądały niezwykle ponętnie. Gazele przy wodopoju. Żadna nie miała trzydziestki. Nadwrażliwość skóry ludzkiej po hibernacji ustępowała po dwóch godzinach i dopiero wtedy mogliśmy wrzucić coś na grzbiet. Jeżeli się wstydzili, to nie chciały tego okazać. Piły specjalny napój odżywczy, by rozruszać żołądek. Wziąłem kubek i też sobie nalałem.

Genetyczka Catherine była subtelną blondynką. Z pozoru uległa i wiotka, pozostawała na swój sposób nieprzenikniona i tajemnicza. Nie przypominała członka załogi statku kosmicznego. Co taka niewinna i świeża istota robiła w kosmosie? Budząca respekt Emily, pokładowa medyczka, miała ozłocone przez słońce szczuplutkie ciało podchodzące pod delikatny brąz i długie ciemne włosy, które zwykle zawiązywała w kok. Afroamerykanka Rosemary cieszyła oczy czekoladową karnacją skóry. Gęste loczki czarownie układające się wokół jej prześlicznej twarzy, nieco krągłe kształty i rewelacyjnie piękne piersi decydowały o jej atutach. Otaczała ją aura egzotycznej zmysłowości. Zajmowała się ekologią, dobre zajęcie jak każde inne, ale w moim odczuciu miałyby większe wzięcie jako modelka. Była atrakcyjna i wygrałaby konkurs na miss załogi Demostenesa, gdyby taki zorganizowano. Najbardziej mi się podobała i polecałbym na nią bez wahania, jednak wiedziałem, że nie mam żadnych szans. Za wysokie progi... Zwróciłem się w ich stronę i wzniósłem toast:

— Wasze zdrowie! — z trudem wychrypiałem, czując się tak, jakbym miał gardło wypełnione wodorostami.

Pokładowe dżagi zareagowały życzliwie, choć mogły dać mi do zrozumienia, że nie powinienem się tu kręcić. Nie znalazłem się przecież na plaży dla nudystów. Uśmiechnęły się do mnie przyjaźnie. „Ostrożnie z pięknymi dziewczynami!” — zachichotał w mojej głowie cichy głosik.

Emily przerwała krępującą ciszę. Była lekarzem, więc goliżna nie robiła na niej wrażenia. Przecież na co dzień obcowała z pacjentami, którzy musieli się przy niej rozbierać.

— Nic się nie zestarzałeś! — żartobliwie odbiła piłeczkę. —

Pileś eliksir młodości? Wyglądasz jak pół wieku temu.

— Wy też — wykrztusiłem. — Prawdziwe z was bóstwa. Trzy Gracje jak nic! — mignęły mi przed oczyma świecące goliźną dzieła Rafaela i Rubensa. Kto nie widział tych obrazów?

To wystarczyło na dzień dobry. Nie należało przesadzać z komplementami. A poza tym powstrzymywał mnie wstyd. Nie chciałem wypaść jak szczeniak, który porywczo wdarł się do żeńskiej szatni, więc uznałem, że czas zejść im z oczu. Dalsza wymiana zdań w tych okolicznościach byłaby nie na miejscu i dowodziłaby braku taktu. Opuściłem to cudowne towarzystwo i udałem się do mojej kajuty. Skryłem się tam i odetchnąłem z ulgą. Musiałem trochę odczekać, by potem wciągnąć na siebie koszulkę i szorty.

W mojej pokładowej dziupli na drugim poziomie nic się nie zmieniło przez te czterdzieści lat. Miałem kajutę pojedynczą. Spakowane rzeczy spoczywały, gdzie powinny, zabezpieczone na wypadek wahań grawitacji. Klimatyzacja sprawiła, że nie okryły się kurzem.

W pierwszym odruchu wyjąłem inkrustowany zasobnik, zamknięty na linie papilarne, w którym chowałem drobne pamiątki z dawnych lat. Znaczyła się na nim duża litera omega. Zabrane w drogę drobiazgi nie należały do szczególnie cennych, tym niemniej miały dla mnie wartość sentymentalną. Identyfikowałem się z nimi. Wiązały się ze światem, który opuściłem raz na zawsze. Nie planowano bowiem powrotu Demostenesa do Układu Słonecznego. Chwilę ważyłem zasobnik w dłoniach, a potem odstaawiłem go na półkę, pozostawiając w zasięgu wzroku. Na razie nie goniliły mnie wspomnienia, więc nie musiałem go otwierać. Jak dotąd bowiem nie opuściła nas nadzieja i nie utraciliśmy przekonania, że misja naszego życia okaże się udana. Patrzyliśmy z ufnością w przyszłość. Wierzyliśmy, że nam się powiedzie i że zaludnimy Hegemone, czyniąc ją sobie poddaną. Miały tu powstać pierwsze ludzkie osiedla.

Załoga potężnego Demostenesa składała się z dwunastu mężczyzn i z takiej samej ilości kobiet. Nie licząc czterystu kolonistów obojga płci, uśpionych na niższym poziomie. Nie zorganizowano dla nas na Ziemi obozu integracyjnego i poznaliśmy się właściwie dopiero tuż przed odlotem. Nie brano pod uwagę takich rzeczy, bowiem byliśmy ponoć bezkolizyjnie dobrani. Jednak nie zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Ocieraliśmy się za krótko o siebie. Przeważającą większość czasu spędziliśmy bowiem w hibernatorach. Obudzono nas, gdy Demostenes wyłonił się z nadprzestrzeni, osiągając cel, odległy o dwa i pół tysiąca lat świetlnych. Leciliśmy w stronę gwiazdozbioru Strzelca. Dotarliśmy do układu solarnego, mającego planetę podobną do Ziemi. Krążyła w ekosferze gwiazdy, żółtego karła, parametrami zbliżonego do naszego Słońca, tętniła życiem i zdawała się na nas czekać. George nazwał ją Hegemone i tak już zostało. Zainspirował się maleńkim i mało znanym księżycem Jowisza, który nosił takie miano. Jednak chodziło mu bardziej o mitologię grecką. Takie imię miała jedna z Charyt, córek Zeusa, władcy Olimpu. Greckie Charyty, a rzymskie Gracje, boginie wdzięku i radości, przepadały za zabawą, muzyką i tańcem. Patronowały sztukom pięknym i rękodziełu. Ile ich było? Trudno dociec. Ateńczycy czcili Hegemone, okazując jej wyjątkową cześć, więc mogliśmy poniekąd nawiązać do ich tradycji. Przyszło mi do głowy, żeby nazwać Atenami pierwszą kolonię na tej planecie, ale z nikim się nie podzieliłem tym pomysłem. Jakież to miało znaczenie? Bo przecież nie starożytne mity decydowały o tym, że parliśmy w gwiazdy i szukali podobnych do Ziemi globów do zasiedlenia.

Nie wszystko jednak poszło po naszej myśli. Dopiero podczas deorbitacji okazało się, że ta planeta nie jest wcale tak gościnna, jak sądzono. Posiadała coś na kształt okrywającego atmosferę pola siłowego, które omal nie uniemożliwiło nam lądowania. Nie wykryliśmy wcześniej jego śladów. Doszło do kolizji z napędem Demostenesa i zaburzeń pracy głównych silników. Statek opadał, obracając się wokół swej osi, a dysze pluły plazmą na

wszystkie strony. Ostatecznie jednak udało nam się osiąść na powierzchni prawie bez szwanku, co graniczyło niemal z cudem i było zasługą dwójki naszych znakomitych pilotów. Napęd należało naprawić, wszakże odłożono to zadanie na później, bowiem wymagało opuszczenia macierzystej jednostki.

Wróciłem myślami do dżąg, które spotkałem w mesie. Westchnąłem z przejęciem. Zgodnie z umowami, którą podpisaliśmy przed odlotem, godziliśmy się na małżeństwa zaaranżowane przez komputer. Chciano nas uchronić od błędów i oszczędzić nam nieefektywnej samczej rywalizacji na nowej planecie, zaś bazowano na znakomitych programach do kojarzenia par. Pachniało to wprawdzie czasami, w których rodzice swatali swe pociechy, tym niemniej taki sposób dobierania partnerów nie dziwił i w powszechnym przekonaniu gwarantował trwałość związku. Elektroniczny doradca brał pod uwagę nie tylko wyrafinowane mechanizmy doboru naturalnego, ale i całą gamę podświadomych oczekiwań i pragnień, więc prawdopodobieństwo, że coś sknoci, było bliskie zeru. Oczywiście, nie spodziewano się cudów i zdarzało się, że brała górę niezgodność charakterów. Natura ludzka potrafiła przecież zaskakiwać.

Zapowiadało się zatem coś na kształt podniecającej loterii i dumałem nad tym, która z sikerek z pokładowego teamu zostanie moją żoną. Jednak po dwu rozwodach nie oczekiwałem Bóg wie czego. Nie liczyłem na to, że kolejne małżeństwo mnie uszczęśliwi i że przypadnie mi w udziale oszałamiająca gwiazda, która straci dla mnie głowę. Z odrobiną niepokoju czekałem na werdykt. Moi kumple również chodzili podekscytowani. Mieli nadzieję, że wyrafinowany system ich nie zawiedzie. Nasze pokładowe dziunie należały do udanych i nie brakowało im wdzięku, choć przecież o gustach nie należało dyskutować. Nie były oschłe, zamknięte w sobie i odpychające, czego się obawiałem, gdy wybierałem się w drogę. Nie miałem więc się czego lękać. Krótko mówiąc, były do rzeczy. Nie pozwoliły się jednak wodzić za nos. Nieustanna doba emancypacji sprawiała, że pozostawały

pewne siebie i niezależne, oraz że nie ustępowały mężczyznom pod żadnym względem. Umiały trzymać ich na dystans, a jeśli musiały patrzyły na nich z góry. Jednak nie straszyły chłodem. Też czekały z utęsknieniem na werdykt komputera.

Przymierzałem się w myślach do dwunastu kandydatek po kolei. Doszedłem do wniosku, że najbardziej odpowiadały mi skromna Laura Turner, agentka ochrony, obeznana z różnymi rodzajami broni palnej. W jej towarzystwie czułbym się pewniej na powierzchni globu. Gdybym ją dostał, byłbym usatysfakcjonowany. Nie rzucała się w oczy i zwykle kryła się w cieniu, umiejąc asystować cudzym zajęciom. Niespecjalnie dbała o siebie, a ubierała się raczej po męsku. Co nie znaczyło, że brakowało jej seksapilu.

Z westchnieniem ulgi poszukałem czegoś na grzbiet. Musiałem przygotować się do kontaktu z dowódcą wyprawy i innymi członkami załogi. Należało dobrze wypaść.

Obsiedliśmy długi stół z błyszczącym blatem w kolorze granatu. Byliśmy w komplecie. Z odrobiną skrywanego wzruszenia lustrowałem wszystkie twarze. Podniósł się Adam Cox, lekko posiwiały dowódca, mężczyzna o wyniosłej postawie i posturze wojskowego, ucinając ciche rozmowy. Budził respekt. Jednak starał się nie spoglądać na nas z góry. Cox był daleki od wygłaszania pompacyjnych przemówień. Rzucił kilka zdawkowych słów na powitanie i od razu oddał głos George'owi.

Wilson, cywil pełną gębą i typowy naukowiec, był jego formalnym zastępcą, czyli drugą osobą na Demostenesie. George stanął pod pewnymi względami zaprzeczenie Adama Coxa. Mimo posiadanej władzy, uważał siebie za osobę prywatną, zachowywał się swobodnie, potrafił żartować i starał się nikomu nie deptać po odciskach. Raczej oszczędny w słowach, lubił mówić krótko i zwięźle, a zwykle zakładał, że ma przed sobą obdarzonych inteligencją rozmówców, którzy są w stanie ustosunkować się do bardzo zawiłych kwestii, z jakimi się mierzy. Pasjonowały

go różne tajemnice wszechświata, więc kiedy je objaśniał, udzielał mu się nieskrywany entuzjazm. Jednak zwykle starał się kontrolować i nie popadać w przesadę.

Sympatyczny blondas zaczął bez zwłoki dzielić się z nami tym, co uważał za ważne.

— O tym, że podejrzanie szybko ustąpiło skażenie terenu, już wiecie. A teraz kolejne sprawy. Przyjrzałem się tarczy ochronnej tej planety. Niestety, po naszym niefortunnym lądowaniu uległa ono wzmocnieniu. Nie jesteśmy więc w stanie opuścić Hegemone. Jeśli naprawimy silniki, co z pewnością się uda, będziemy mogli co najwyżej pokrzyżać nad jej powierzchnią. Wzniesiemy się góra na sto osiemdziesiąt kilometrów. Znaleźliśmy się więc w pułapce i staliśmy się więźniami tego globu. Co nie jest wesołe. Owszem, rysuje się pewna możliwość. Musielibyśmy dwukrotnie wzmocnić napęd. I wtedy spróbować. Być może, udałoby się nam przebić przez blokadę. To po pierwsze, a właściwie po drugie. Następna niespodzianka wiąże się z dżunglą wokół Demostenesa. Popatrzcie! Opadną wam szczęki — wyświetlił zdjęcia, wykonane z góry przez drona. — Tropikalny las wrócił, ale w sposób niezmiernie inteligentny. Widać? Utworzył koło.

Nasza macierzysta jednostka dumnie spoczywała na środku porośniętego trawą idealnego kręgu o średnicy około dziewięciuset metrów. Dżungla dochodziła do jego granic i nie posuwała się dalej. Statek był ogromny, a przypominał kształtem krytą łódź pościgową. Miał blisko pół kilometra długości. Opływowe silniki znaczyły się po obu stronach. Wspierał się na trzech potężnych łapach, które częściowo chowały się podczas lotu.

— I co jeszcze? — George podjął nowy wątek, gdy już się natrzyliśmy. — Mniej więcej dwadzieścia lat po wylądowaniu, kiedy słodko spaliśmy w hibernatorach, ktoś nieoczekiwanie złożył nam wizytę. Na drugim poziomie zmaterializowały się trzy obce istoty. Wrogie, czy nie, trudno powiedzieć. Nie były uzbrojone. Komputer nie rozpoznał nikogo z załogi, więc wszczął cichy alarm. Zablokował ten sektor. Jednak nasi goście zdążyli się wy-

mknąć. Rozmyli się w powietrzu.

— Ludzie? — zdziwiła się Emily. Jako medyczka uchodziła za czwartą na pokładzie.

— No, niezupełnie — sprostował George. — Ich oczy jarzyły się zielonym blaskiem, co było dobrze widać, zważywszy słabe oświetlenie. Jak u zombie. Można postawić pytanie, czy mieliśmy do czynienia z postaciami realnymi. Komputer nie wykrył biosygnatur mimo dobrze skalibrowanych sensorów. Być może, seans trwał za krótko.

Wywołał na ekranie obraz z kamer. Faktycznie, korytarzem posuwały się trzy człekokształtne istoty. Kroczyły bez pośpiechu i bez lęku o to, że ktoś je zdekonspiruje. Zaraz jednak znikły.

— Hologramy?

— Raczej nie.

— Teleportacja?

— Trudno powiedzieć.

Adam dorzucił swoje trzy grosze:

— Szansa spotkania w kosmosie humanoidalnej formy życia jest astronomicznie mała, jednak ta planeta — z racji uderzającego podobieństwa do Ziemi — wydaje się temu przeczyć. Tu mogą być ewolucyjnie do nas zbliżeni niby-ludzie, może jakieś myślące małpoludy, choć nasze sondy dotąd nie wykryły żadnego takiego gatunku. Zresztą, Bóg wie, co jeszcze.

— Ludzie, nie ludzie. Jakim cudem ktoś pokonał osłony Demostenesa? — zapytała znowu Emily. — Do tego potrzeba inteligentnych istot, obeznanych z wysoką technologią.

— Wciąż to badamy — rzekł George. — Miejmy nadzieję, że obcy niczego nie poprzestawiali w naszych systemach. Demostenes jest bogaty w zabezpieczenia. Jeżeli gospodarze tej planety chcieli przeskanować statek, to reakcja komputera ich zniechęciła. Przecież w odróżnieniu od nas mózgi elektronowe nie poszły spać i nie skryły się w hibernatorach — zażartował. — A co ponadto, pomijając ten epizod? — George już poważniej ciągnął dalej: — Odnotowaliśmy ciekawą zmianę na powierzchni. Tutejsi amfi-

trioni, o ile można tak powiedzieć, zbudowali dla nas — rzecz kuriozalna — niewielkie osiedle na brzegu morza. Zafundowali nam niezwykły prezent. Kilkanaście kilometrów stąd stworzyli komfortowy ośrodek, niczym tropikalny pensjonat, żywcem skopiowany z Ziemi. Wygląda ładnie i zachęcająco. Bezsprzecznie chcieli się ujawnić i nie zamierzali ukrywać się przed nami. Być może, ma to być miejsce przyszłego spotkania z nimi. Rodzi się jednak pytanie, czy ten pensjonat nie jest przypadkiem... rodzajem pułapki na myszy, w którą wpadniemy, jeśli się tam pochopnie wybierzemy, nie zachowując niezbędnej ostrożności. Bóg jeden wie, co jest w środku i co nas tam przywita...

Kamery drona pokazywały połączone z sobą pawilony, kryte widokową czerwoną dachówką i bambusową strzechą. Dookoła rosły palmy, a między nimi znaczyła się otoczona marmurem urokliwa pływalnia. Skąd się coś takiego wzięło na niezamieszkałej planecie? Ktoś tu z kosmosu przylatywał na weekendy? Może w grę wchodziły podróże w czasie? Wszystko to pachniało absurdem i było dziwnie nedorzeczne. Różnych rzeczy mogliśmy się spodziewać, ale nie czegoś takiego, co kłóciło się ze zdrowym rozsądkiem.

— Spróbujcie to sobie w spokoju przemyśleć — zakończył blondas. — Jeżeli komuś przyjdzie coś do głowy, niech zgłosi się do mnie lub do komendanta — wskazał głową na dowódcę. I dodał: — Nielatwo to wszystko rozgryźć. To, co tu się dzieje, nie napawa optymizmem. Jak temu stawić czoła? Nie wiemy, czy możemy wypuścić kolonistów na powierzchnię. Chodzi o ich bezpieczeństwo. Być może, siedzimy na beczce prochu. Nie przewidzieliśmy, że ta planeta może kryć mroczne tajemnice. I że posiada drugie dno.

— Tajemnice — westchnęła Emily. — Zawsze musi być jakieś ale...

George zamilkł na chwilę i zaraz dodał z błyskiem w oku, spoglądając na dowódcę: — Mam jeszcze coś, na co z pew-

nością czekacie od samego początku lotu. Mówią, że co nagle to po diable! Jednak ze względu na nietypowe okoliczności, a jakie, to sami widzicie, postanowiliśmy już teraz — zawiesił teatralnie głos — połączyć was w pary. Doskonale wiem, że w skrytości ducha na to liczycie. Za chwilę odkodujemy wyniki supertestu „Jesteście mężem i żoną”. I wyświetli się upragniona lista — wskazał na jeszcze pusty ekran. — Niech piękne poznają swe bestie, a bestie — swe piękne! — zawołał z patosem. — W parach będzie wam łatwiej zmierzyć się z przeznaczeniem. Dmuchiemy wam wiatr w żagle. Oczywiście, póki co dotyczy to tylko członków załogi. Koloniści muszą poczekać. Jeszcze nie nadszedł ich czas.

Było to miłe zaskoczenie. Sprawy biegły naprzód w piorunującym tempie. Nie przypuszczałem, że już kilka godzin po przebudzeniu opuści mnie samotność i będę cieszył się posiadaniem żony.

Odpowiedzieliśmy ostrożnymi oklaskami, jakby nie wierząc, że George mówi serio. Kiedy ustały, zabrał głos Adam Cox. Zlustrował wszystkich z uwagą i beznamiętnie dorzucił, stawiając kropkę nad i:

— Pragnę przypomnieć, że ogłoszenie wyników jest równoznaczne z urzędowym zawarciem małżeństwa. Nie jesteśmy na Ziemi, ale daleko w kosmosie, dlatego nie przewidujemy żadnych tradycyjnych ceremonii i uroczystych obrzędów, złotych obrączek i szampana. Nie będziemy się w to bawić i do łez wzruszać krewnych, bo ich tu nie ma. Trzymamy się rozwiązań, których wymaga dyscyplina pokładowa.

Usłyszeliśmy pierwsze takty hymnu Unii Solarnej. Potem wszystko poszło szybko i gładko. Wyświetliły się imiona i nazwiska osób skojarzonych przez komputer. Nie mogliśmy oderwać od nich oczu. Przez chwilę chaotycznie tańczyły po ekranie, jakby wyniki były nie do końca pewne, a potem znieruchomiały na wyznaczonych im miejscach, wiążąc się w pary.

Oniemiałem z wrażenia i zabiło mi mocniej serce, gdy poja-

łem, kto mi przypadł w udziale w tej niezwyklej matrymonialnej loterii. Klamka zapadła. „Jasny gwint, Harry Miller i Rosemary Hawkins!” — wyszeptalem w myślach. — „Niemożliwe! Ja i ona?” Nie mieściło mi się to w głowie. Nie zasługiwałem na tę rozkoszną Afroamerykankę.

Moje ciche nadzieje, że trafi mi się skromniutka Laura Turner, speszły na niczym. Przegrały w konfrontacji z nieomylnymi programami mózgu elektronowego. Komputer mile mnie zaskoczył, co wstrząsnęło mną do głębi. Odniosłem wrażenie, że szepce mi zachęcająco do ucha: „Przyjacielu, posiadź się wyżej!” Stał się nagle kurą znoszącą złote jaja.

Na przesłiczną Rosemary prawie wszyscy moi koledzy mieli chrapkę, choć niekoniecznie musieli się do tego przyznawać. Zdaniem wielu z nich była najlepszą partią na pokładach. A przynajmniej jedną z najlepszych. Omijałem szerokim łukiem tę cudną madonnę, świadomy tego, że na pewno jej nie dostanę i wydawało mi się, że mój pesymizm jest uzasadniony. Nie powinienem był karmić się złudzeniami i ośmieszać przed kolegami. A tu nagle...

Wyniki przyjęto żywiołowymi oklaskami. Panował gwar i emocje sięgały zenitu. Do takiego wybuchu entuzjazmu nigdy wcześniej nie doszło na pokładach Demostenesa. Podniecone triumfem kobiety zarażały swą radością. Zaczęliśmy powoli podnosić się z miejsc, więc moja wybranka znikła mi na moment z oczu. Rozejrzałem się za nią z niepokojem, obawiając się, że gdzieś przepadnie. Jednak nie zamierzała kryć się przede mną. Przyfrunęła jak na skrzydłach i ze szczęściem na twarzy położyła mi dłoń na ramieniu.

— Hej! — rzuciła przyjaźnie, przełamując lody. Była cała w skowronkach. — Tu jesteś, Harry?! To cudownie! Myślę, że się cieszysz, bo ja bardzo, to był strzał w dziesiątkę, ten komputer chyba czyta w naszych myślach! — obwieściła, dzieląc się swoją radością.

Nie spodziewałem się tak entuzjastycznego powitania i zdę-

białem z wrażenia. Z jej roześmianych oczu wyczytałem, że godzi się z zaskakującym werdyktem mózgu elektronowego. Bezapelacyjnie trafił w jej oczekiwania. Pasowałem jej jak ulał i bez cienia wstydu pchała mi się do rąk. Nie musiałem zabiegać o jej względy. Podawała mi siebie na tacy.

Z niedowierzaniem ująłem jej delikatną dłoń. Owiał mnie podniecający zapach damskich perfum. Zdumiewające, była moja! Dostałem ją od komputera. A co więcej, byliśmy już po ślubie.

Powściągliwa Rosemary nie afiszowała się wcześniej ze swymi uczuciami, nie miałem więc pojęcia, że stanowiłem obiekt jej cichych westchnień. I dopiero teraz — przy dźwięku fanfar — wyrzuciła wszystkie karty. Jej entuzjazm i szczerłość otworzyły mi oczy. Jednak nie potrafiłem odwzajemnić się równym entuzjazmem. Nie nadażałem za szalonym rozwojem zdarzeń. Jak na mój gust, to wszystko działo się za szybko. Komputer wytrącił mnie z równowagi i sprawił, że na moment zgłupiałem. Czy gdzieś tu nie było jakiegoś haka? Czy pokładowy jasnowidz nie chciał zagrać mi na nosie? A gdyby tak za godzinę lub dwie chciał to odwołać? Bo gdyby tak się stało, byłbym w kropce. Nie zasługiwałem na cios poniżej pasa. Nie zniósłbym tego po raz trzeci. Przecież już dwie żony wystawiły mnie do wiatru.

— Jasne, cieszę się — ostrożnie potwierdziłem, wciąż nie mogąc ukryć oszołomienia.

Chyba dostrzegła moje wahanie i brak zdecydowania.

— Harry, klawo, nie miałam wątpliwości, że będę ci odpowiadać — rzuciła z uniesieniem. Zalotnie zajrzała mi w oczy. — Nie wykręcisz się. I nie mów, że nic do mnie nie czujesz. Durzyłeś się we mnie. Ukradkiem się oglądałeś, przecież to widziałam, kobiety nie oszukasz.

Wydawało mi się, że trochę przesadza w ocenie mych uczuć. Górowałem nad nią wiekiem i zwykle byłem spokojny i opanowany. Dzieliło nas jakieś piętnaście lat. Objąłem jej wąską kibić, goniąc wzrokiem za Laurą. Nie chciało mi się wierzyć. Dostała się George'owi Wilsonowi.

Wróciłem wzrokiem do mojej donny. Nie należało kwestionować decyzji komputera. Wybrał mi rewelacyjną żonę i nie miałem prawa kapryścić i grymasić, cudować i wydziwiać. Byłbym ostatnim durniem, gdybym zlekceważył jego werdykt.

Przyciągnąłem zmysłową Rosemary do siebie i z odrobiną obawy złożyłem na jej ustach delikatny pocałunek. O dziwo, czule go odwzajemniła, jakbyśmy chodzili ze sobą od dawna, byli zaręczeni i otuleni blaskiem księżyca pieścili się na niejednej randce. Potem przyłgnęła do mnie całym ciałem, dając mi do zrozumienia, że do mnie należy. Grała *va banque*. Poczułem na sobie jej kształtne piersi i ogarnęło mnie rozkoszne podniecenie. Serce mi oszalało. Zaczęło do mnie docierać, że to wszystko dzieje się naprawdę. Mogłem pchać się z łapskami na jej pole karne i nic mi za to nie groziło. Nikt mi nie mógł tego zabronić.

Jej temperament wziął górę i zaczęliśmy się namiętnie całować. Wpiła się w moje usta i zabrakło mi na moment tchu.

— Co robimy, milutka? — w chwili przerwy szepnąłem jej do ucha, ulegając nastrojowi chwili. Zajrzałem w jej czarne oczy. — Będziemy czekać do późnego wieczora? Na noc poślubną?

— Nie musimy — odszepnęła. Energicznie mną się zajęła, przejmując inicjatywę. Ścisnęła mi palce. — Możemy od razu pójść do mnie, Casanovo — zaproponowała bez wahania, gotowa w łóżku potwierdzić to, co wyczytałem z jej twarzy. — Zaszalejemy! A potem wrócimy na kolację.

Z entuzjazmem pociągnęła mnie za sobą. Czekały mnie upojne chwile z pokładową gwiazdą. Pragnęła, byśmy czym prędzej poszli na całego i przypieczętowali wybór komputera. Należało skonsumować ten związek. Trzymając się za ręce jak para zakochanych nastolatków, po angielsku wymknęliśmy się z sali konferencyjnej. Inni zachowywali się podobnie jak my. Zaczęło ubywać par.

Uszczęśliwiona Rosemary zdążyła jeszcze rzucić do Emily, z którą dzieliła damską kabinę:

— Zajmujemy chatę!

Medyczka przyzwalająco skinęła głową, domyślając się, o co jej chodzi. Też wygrała na loterii. Dumnie stała przy Adamie, dowódcy naszej wyprawy. I z pewnością nie było siły, która potrafiłaby ją od niego oderwać.

Całowaliśmy się co rusz po drodze i z lekką zadyszką dotarliśmy do upragnionej kajuty. Przeniosłem moją żonę przez próg, wydawała mi się lekka jak piórko, i od razu trafiliśmy na łóżko, z gorączkowym pośpiechem oddając się powinnościom małżeńskim. W okamgnieniu rozebrałem ją drżącymi z podniecenia rękami. Ściągnęła ze mnie bluzę i zatraciliśmy się w szalonych pieszczotach. Wbiłem się w nią z niewyobrażalną rozkoszą i zdążyła tylko raz krzyknąć, bowiem prawie natychmiast osiągnęliśmy spełnienie.

Wtuliłem głowę w jej piersi, pragnąc, by ta chwila jeszcze trwała.

— Dzięki, Harry! — wyszeptała, pieszczotliwie głaszcząc mnie po policzku. A potem cicho dodała z rozmarzeniem w oczach: — Jesteś moim pierwszym, wyobraź sobie!

Nie miałem powodu, żeby jej nie wierzyć.